

Olimp

Migawka

Wszystko dokładnie zaplanowałem. To miało być szczególne wejście nie tylko ze względu na owiane legendami i mitami tajemniczy wierzchołek. Siedziba bogów, pogrążony w oparach mgły szczyt, który jest w naszym kręgu kulturowym uosobieniem Absolutu, czegoś, co stanowi z jednej strony kres poszukiwań, a z drugiej – osiągnięcie i zrealizowanie własnych możliwości.

Ale Olimp to góra niezwykła także pod innym względem – leży niedaleko brzegu morza, więc jest jedną z tych niewielu gór, na którą tak naprawdę można wejść o własnych siłach. Najczęściej jest tak, że ci, którzy zdobywają góry, podjeżdżają do jakiegoś miejsca, a następnie już znajdując się na pewnej wysokości, podchodzą na szczyt. Cóż więc oznacza tak naprawdę „zdobycie góry”? A gdyby ktoś nas podrzucił w pobliżu wierzchołka, czy wtedy powiedzielibyśmy, że zdobyliśmy górę? Gdzie jest ta granica? Czyż nie powinno się zaczynać od zera, czyli od poziomu morza?



Olimp. Fot. Ryszard Kulik

Tak to właśnie zaplanowałem – Olimp miał się stać moją pierwszą górą, na którą wszedłem sam, o własnych siłach od samego początku do końca.

Jak przystało na prawdziwego pielgrzyma, najpierw wykąpałem się w morzu, by zmyć przed czekającą mnie drogą kurz przeszłości. Następnie zarzuciłem na czyste ciało ciężki plecak i z czystym umysłem ruszyłem w kierunku olbrzyma majaczącego w ołowianych chmurach. Jego potężna sylwetka kontrastowała z łagodnymi pagórkami, porośniętymi karłowatymi oliwkami, przez które przechodziłem w palącym słońcu. Tam, na samej górze, złowieszczo przewalały się chmury rozświetlane błyskawicami. A więc to wszystko prawda: Zeus zazdrośnie strzeże swojej siedziby przed śmiałkami takimi, jak ja. Ale ja, będąc jeszcze daleko od celu, niemalże już byłem tam – u kresu, gnany wizją, z której byłem niezwykle dumy. Już widziałem te zachwycone spojrzenia moich znajomych, gdy będę opowiadał o niezwykłej wyprawie i własnym wyczynie. Przykleiłem się do tego wyobrażenia jak ćma do lepkiej pajęczyny i po prawdzie już odebrałem swoją nagrodę.

Po kilkunastu kilometrach wędrówki dotarłem do wąwozu Epinea, który był bramą prowadzącą w głąb masywu. Tutaj znalazłem miejsce na nocleg przy niewielkim potoku. Rano, po przebudzeniu, zauważyłem na ciele podejrzane krostki, ale uznałem, że może to jakieś uczulenie, więc pozbierałem się i poszedłem dalej.

Droga przez wąwóz była bardzo uciążliwa, ponieważ przez wiele godzin nie znajdowałem wody. Za to otoczenie było zachwycające. Wokół mnie kwitły storczyki, a ogromne dęby i buki dawały upragniony chłód i cień. Po kilku godzinach wędrówki raz w górę, raz w dół, w końcu zacząłem mozolnie piąć się w kierunku szczytu. Las stawał się coraz rzadszy, a wierzchołek Mytikasa (najwyższe wzniesienie w masywie) coraz bliższy. Jakies dwie godziny drogi od szczytu zdecydowałem się na nocleg wśród skał.



Wąwóz Epinea. Fot. Ryszard Kulik

Gdy myślałem się w strumieniu, okazało się, że całe ciało mam pokryte bąblami. Co się dzieje? Położyłem się spać z nadzieją, że o świcie jak młody bóg jednym susem pokonam dystans dzielący mnie od wierzchołka, mimo różnych cielesnych przeciwności. Ale ta noc nie należała do łatwych. Tak naprawdę nie zmrugałem oka ani przez chwilę. Przez większość czasu intensywnie się drapałem, aż nad ranem przypomniało mi się, że nigdy w życiu nie chorowałem na ospę. Tak, mam ospę!

Co tu robić? W świetle słońca, dosłownie na wyciągnięcie ręki, majaczył ostro zarysowany, skalisty szczyt. Ale jestem sam, wokół mnie żywego ducha, a mój stan pogarszał się z godziny na godzinę. Mam zrezygnować? Opuścić siebie? Dać się pokonać?

Ta myśl, że wejść na Olimp, że będę się mógł tym pochwalić, tak do mnie przyłgnęła, że rozstanie z nią było teraz dużo boleśniesz niż swędzące bąble. To, co było tuż, tuż, nagle stało się niedostępne, a moja wizja runęła jak domek z kart.

Na szczęście resztką zdrowego rozsądku oceniłem swoje szanse i zawróciłem spod szczytu. W samą porę! Wieczorem gorączka tak podskoczyła, że pojawiły się zaburzenia świadomości.

Po powrocie do Polski, przez kolejne trzy tygodnie - poddany kwarantannie - leżałem u siebie na wsi, w hamaku, obserwując chmury. Olimp, będący zwieńczeniem moich pragnień, był równie odległy jak one, choć jeszcze niedawno tak bliski, ale ostatecznie niedostępny.

Te chmury były jak moje myśli i wizje, do których tak przyłgnąłem. Ale teraz uczyły mnie, jak nietrwałe i zmienne jest to wszystko, jak życie kpi z tego, do czego przywiązuję się za bardzo. Pojawiają się, są i odchodzą jak marzenia o wyprawach, zdobytych szczytach i niezwykłych osiągnięciach. Tutaj na dole, nie ruszając się z miejsca, ze spokojnym, nigdzie nie gnającym umysłem, dostrzegłem prawdziwy Olimp mojej świadomości. To przekonanie, że niczego nie muszę udowadniać, nie muszę się o nic starać i zмагаć z czymś, co ma zachwycić innych.

Już jestem na samej górze, poddając się temu, co jest.

Ryszard Kulik